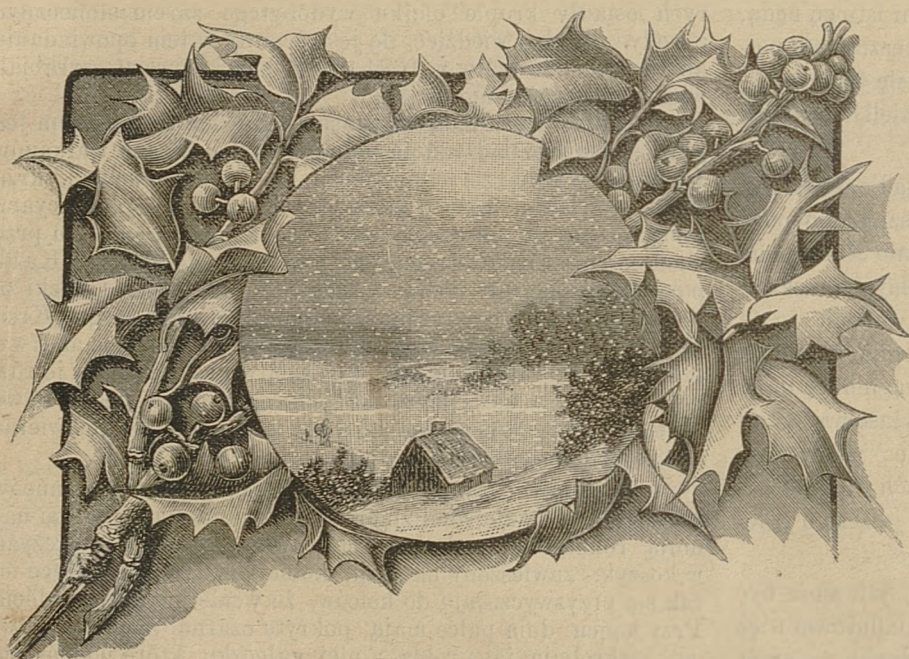




TYGODNIK ILUSTROWANY DLA DZIECI.



Jak ludzie istotną postać ziemi poznali?

Skreślił

Stanisław Kramsztyk.

I.

Ziemia ma postać kuli pod biegunami spłaszczonej.

Zdanie to każdemu z naszych czytelników dobrze zapewne utkwilo w pamięci, a kto tylko zaczyna się uczyć geografii, po pierwszej już lekcji potrafi je wypowiedzieć bez zająknięcia. I wydaje się nam odtąd, że to jest wiadomość bardzo naturalna, że ludzie zawsze wiedzieli, jaką ma postać ziemia, albo przynajmniej, że również łatwo było odkryć isto-

tną jej formę, jak nam dziś powtarzać, że jest kulistą. Ani nam na myśl przyjdzie zastanowić się, ile to pracy kosztowało zdobycie tej prawdy, która dziś wszystkim jest znaną.

A właśnie co upłynęło czterysta lat od czasu sławnej podróży Kolumba, jak to już „Wieczory” przypomniały swoim czytelnikom. Wiecie więc, że gdy odważny żeglarz zamierzał wypłynąć na ocean, aby od zachodu dotrzeć do bogatych Indyj, uczeni nawet ówczesni starali się go przekonać, że to jest projekt niedorzeczny, że ziemi niepodobna dokoła opłynąć. Przed czterystu więc jeszcze laty nie rozumiano, że ziemia ma postać kulistą, a tych, co tak twierdzili, za szaleńców prawie uważano. Dla tego też może zechcecie posłuchać, jakie niegdyś pojęcia mieli ludzie o postaci bryły, którą zamieszkują, jakie dowody nauczyły, że jest ona kulą, jak trudno było ludziom temu uwierzyć, jak

wreszcie domyślono się, że kula ziemską nie jest kulą doskonałą, zupełną, ale że posiada spłaszczenie podbiegunowe.

Gdy znajdujemy się w miejscu ze wszech stron otwartem, o ile tylko wzrok nasz sięga, dostrzegamy, że stoimy w pośrodku płaskiego pola, a chociaż przejdziemy jak najdalej, skrzywienia żadnego nie dostrzeżemy; ufając tedy oczom naszym, gotowi jesteśmy twierdzić, że cała nasza ziemia jest płaska. Dla tego też wszystkim narodom dawnym, wszystkim plemionom pierwotnym, ziemia wydawać się musiała płaską, zwłaszcza, że znano wtedy drobną tylko tej ziemi częśćkę. Grecy nawet, którzy, jak przecież wiecie, byli w starożytności narodem najuczciwszym, najbardziej oświeconym, znali tylko okolice bliskie Hellady czyli Grecyi, od Kaukazu do Sycylii zaledwie; w późniejszych dopiero czasach dotrzeć zdołali do

Gibraltaru, który wówczas nazywał się słupami Herkulesa, a tu już dla starożytnego Greka był kraniec świata. O tych nawet krajach, gdzie my teraz mieszkamy, Grecy bardzo mało wiedzieli, choć przybywali tu podobno czasami kupcy po bursztyn, który w czasach starożytnych bardzo był ceniony.

Dawni poeci greccy, Homer i Hezyod, którzy żyli może około roku 900 przed nar. Chr. i wyobrażali sobie tedy, że ziemia jest płaską tarczą, czyli płaskim kręgiem, oblany ze wszech stron Oceanem bezbrzeżnym. Tak samo sądził i w czasach daleko późniejszych Herodot; sławny ten historyk utrzymuje nawet, że okolice na wschodniej krawędzi ziemi położone ogrzewają się najsilniej przy wschodzie słońca, okolice zaś bliższe krawędzi zachodniej przy jego zachodzie, tak silnie był on przekonany o tem, że ziemia jest płaskim kręgiem.

Ale w tem miejscu dostrzegam, że niektórzy z czytelników uśmiechają się, a niejeden nawet szepcze — jacy to nierozumni byli sławni ci ludzie; toż nie pojmowali tego, o czem teraz i każde dziecko wie dobrze. Pozwólcie więc sobie powiedzieć, że takie uśmiechy i podobna zarozumiałość zgoła są niewłaściwe. Nie dla tego to opowiadam, by was do drwin pobudzić, ale by wam wskazać, że nauka nie wyskakuje nagle, jak w bajce mitologicznej Minerva z głowy Jowisza, ale że rozwija się stopniowo; znajomość prawdy osiąga człowiek zwolna, a to dzięki pracy długich pokoleń, zanim ją zaś pozna, stworzyć musi domysły błędne. My wiemy więcej, aniżeli przodkowie nasi, ale im właśnie zawdzięczamy to, co wiemy obecnie; a tak samo znów ci, co po nas na ziemi istnieć będą, rozumieć będą lepiej wiele rzeczy, których my jeszcze nie pojmujemy. Na najdrobniejszą książkę, z której się teraz uczycie, złożyła się praca wielu dawnych myślicieli, dawnych uczonych, przez długi ciąg stuleci.

Jak dziecko, widząc swój obraz w zwierciadle, ludzi się, że tam istotnie inne się dziecko znajduje i szuka go poza zwierciadłem, tak też i człowiek pierwotny łatwo złudzeniom zmysłowym ulegał i dlatego to, jak powiedziałeśmy, ziemia wydawała mu się płaską. Następnie jednak zrozumiał, że na świadectwie oczu swoich stanowczo jeszcze polegać nie może. Sławny filozof Plato pojmował już, że ziemia ciągnie się daleko poza obszary znane jego rodakom, którzy właściwie znali tylko okolice, otaczające morze Śródziemne; porównywał ich więc do żab lub mrówek, przebywających dokoła bagna, i przekonywał ich, że z tego, co widzą, nic jeszcze o całości ziemi wnosić nie mogą.

Najtrudniej było pojąć dawnym ludziom, jak może być ziemia zawieszona swobodnie w przestrzeni. Hindusowie więc w religii swej odwoływali się do pomocy różnych zwierząt świętych i twierdzili, że ziemia wspiera się na olbrzymim żółwiu, albo że ją podtrzymuje słoń niemniej potężny; w mitologii znów greckiej, na podtrzymywanie całego sklepienia niebieskiego skazany był przez zagniewanych bogów olbrzym Atlas. Wyobrażenia takie stanowiły wszakże tylko legendy ludowe, a filozofowie i uczeni obmyślać musieli podpory innego rodzaju. Jeden więc twierdził, że ziemia ma postać gruszkowatą i posiada korzeń coraz cieńszy, który się niesłychanie daleko w głąb ciągnie; inny znów utrzymywał, że ziemia spoczywa na powietrzu zgęszczonem.

Pomysły te znów wydają się nam bardzo niedorzeczne, ale nie możemy się dziwić, że mędrcy ówczesni zastanawiali się nad pytaniem, na czem się ziemia wspiera. Od owego czasu upłynęło wszakże jeszcze dwa tysiące lat, zanim zrozu-

miano, w jaki to sposób ziemia bez szczególnej podpory utrzymywać się może w przestrzeni. Pochodzi to stąd, że ziemia przyciągana jest przez słońce i że sama pozostaje w ruchu; dzieje się z nią tak, jak z kamykiem uwiązany na sznurku, którym dokoła naszej ręki bujamy. Kamyk obiega w kółko naszą rękę i nie opada, choć nie jest zgoła podparty; podobnie toczy się ziemia i utrzymuje się w przestrzeni, teraz wszakże nie o jej biegu, ale tylko o jej postaci mówić mamy, nie możemy więc zbyt od rzeczy odbiegać i do naszej kwestyi wracamy.

(d. c. n.)

Kwiaty w przemyśle.

Wonie kwiatów tworzą jak wiadomo podstawę każdych pachnideł czyli tak zwanych z cudzoziemska perfum, nie każdy jednak wie skąd się czerpią głównie kwiaty, które ich dostarczają, oraz że stanowią one główny przemysł w wielu miejscowościach Europy, zarówno jak Wschodu, który jest przemysłu tego ojczyzną.

Perskie podanie mówi, że w roku 1612, matka szacha Nur Dżihana, chcąc uczcić syna, wydawała ucztę świetną w ogrodach królewskich. Kanał przecinający je napelniony został wodą różaną, i królewska łódź kołysała się na tej wonnej strudze; u boków jej uczeplił się jakby kawałek mchu; królowa sięgnęła po niego niedbale, i zadziwił ją niezwykły zapach jaki wydawał; były to skupione listki różane na których osiadły krople olejku wydobytego żarem słonecznym z wody. Trudno wiedzieć, ile jest prawdy w tem opowiadaniu, ale to pewno że już w r. 1684 dystalarnie Sziraz wyrabiały wielką ilość różanego olejku.

Olejek ten w naszych czasach głównie wyrabianym jest w wioskach rozsiadłych na południowych stokach Bałkanów. Używają do tego czerwonej róży, t. zw. „damasceńskiej,” krzakami zaś białej róży znaczą granice między plantacyami, i odgradzają je od drogi, aby przeszkodzić zaniachom przechodniów na różę czerwoną, mającą większą wartość. Każde pole oddzielone jest także od drugiego drogą, którą wózki zabierające wonne żniwo różanych liści, przejechać mogą. Krzaki w drugim już roku wydają kwiat obfity, ale chociaż trwać mają po lat dwadzieścia, już w dziesiątym roku scinają je równo z ziemią; w następnym zaś puszczają nowe pędy i nawet kwitną. Przy końcu maja kwiaty zaczynają się roztwierać; obierają je do połowy czerwca.

To żniwo różane jest czasem wesela, śpiewów, tańców. Mniejsi właściciele sami zbiór swój skuteczniają, więksi najmują robotników; obrane listki różane rzucają mężczyźni w koszyk, zawieszony na ręku, kobiety w fartuch. Ręce ich tak się przyzwyczajają do kolców, że wcale nie czują ukłócia. Przy końcu dnia palce mają pokryte czarną, pachnącą żywicą, zeskrobując ją i robią z niej gałeczki, które pomieszane z tytuniem nadają mu najprzyjemniejszy zapach. Liście różane, zapakowane w worku, prosto z pola zanoszone są do dystalarni. Turecki olejek różany często bywa fałszowany przymieszką olejku z liści pelargonii różowej, którą w wielkiej ilości na ten cel hodują.

W Gaziurze, w Indyach, uprawiają białą damasceńską różę; kilka tysięcy morgów pokrytych jest różanemi krzakami; czysty olejek różany jest tu jednak bardzo rzadki i rzeczywiście na wagę złota się sprzedaje. Bywa on zazwyczaj pomieszany z olejkiem sandałowym.

W Prowancji uprawiają głównie róże dla wyrobu pomady różanej, z której pędzi się ekstrakt różany, używany zwykle do perfum. Naokoło Grasse, Cannes, Nicei róże rosną wszędzie, tworząc żywe płoty; kwiaty ich skupują przy końcu kwietnia fabryki perfum; zbiór zaś trwa blisko trzy tygodnie. Olejek różany w doskonałym gatunku, w bardzo niewielkiej wyrabiają tu ilości.

W Anglii, w hrabstwie Surrey hodują też róże, lecz nie wydobywają z nich olejku, woda nawet dystalowana z ich liści nie ma tych zalet, które jej nadaje gdzieindziej gorące słońce południowe. Część południowych brzegów Francji a mianowicie wspomniane już: Grasse, Nicea, Cannes podobnie jak stoki Bałkanów są niby jedną wielką fabryką pachnidła. Setki robotników znajduje zajęcie na folwarkach gdzie podobnie jak zboże hodują wonne kwiaty, które następnie w dystylarniach przerabiają.

Po różach następuje w Cannes zbiór jaśminu i tuberoz. W lipcu i sierpniu pola roją się od kobiet starych i młodych, i od dzieci, którzy zbierają kwiatki do koszyków zawieszonych na rzemieniu.

Delikatne tuberozy wymagają większej troskliwości od innych kwiatów, ale wykwinny ich zapach sownie opłaca starania ogrodnika. Plantacja tuberoz trwa od sześciu do siedmiu lat.

Ostatnim zbiorem jest w listopadzie „kassja” kwiat z rodzaju akacyi, którego nie trzeba brać za kwiat o cynamonowym zapachu, rosnący na krzewie z rodziny wawrzynów. Zapach jej mdły, używa się więc tylko w połączeniu z innymi; zbiór jej trwa dość długo, ponieważ jedne kwiaty rozkwierają się, gdy inne zaledwie są w pączkach.

Pierwsze jednak miejsce przed temi wszystkimi, trzyma kwiat pomarańczowy. Olejek jego wchodzi do składu wody kolońskiej.

Na początku już lutego silny zapach unosi się nad otaczającymi Niceę polami, na których uprawiane są wielkie, ciemne, podwójne parmeńskie fiołki. Skromne te kwiatki, lekające się promieni słonecznych, sadzone bywają w cieniu drzew pomarańczowych lub cytrynowych, albo pod murami, niezmiernie rzadko, żeby zbierając jedne, nie uszkodzić drugich. Dobry ekstrakt fiołkowy jest ślicznego zielonego koloru. Wyrabia się także tutaj ekstrakt z żółtych narcyzów i rezedy.

Irisy o blade niebieskim kwiecie uprawiają głównie w Toskanii, dla ich korzeni, dających proszek o fiołkowym zapachu. Co trzy lata wykopują rośliny, ścinają korzenie i na nowo je sadzą. Nietylko jako proszku, ale jako ekstraktu, otrzymywanego za pomocą feruentacyi, używa się korzenia irisu do fabrykacyi różnych perfum, tak samojak esencji bergamotowej, otrzymywanej ze skórki pewnego gatunku cytryny.

W Anglii uprawiają na wielką skalę lawendę, gdyż najlepszą lawendową wodę tam wyrabiają pędząc olejek lawendowy ze spirytusem i wodą różaną.

Zapachy, z których następnie robią perfumy wydobywają kładąc kwiaty na marmurowych płytach i polewając je gorącym tłuszczem, który zapach wyciąga, lub też czystym spirytusem. Zapach pozostały w tłuszczu lub w spirytusie z użytkowywa się następnie właściwie.

A.

DO ZIEMI NIEZNANEJ

przed czterystu laty.

(Dalszy ciąg).

— Niepodobnej rzeczy zażądałeś od nas senor! — zawołał wreszcie zniecierpliwiony Juan d'Orbitello. Czarodziej chyba potrafiłby dokazać takiej sztuki, ale uczciwy, prawowierny chrześcianin, gdzie zaś!

— A przecież to łatwo, byle tylko wymyśleć sposób — rzekł ze śmiechem Kolumb.

Odrzucił jeden koniec jajka, które wówczas mając już prostą podstawę, stało i... stało ku ogólnemu zdumieniu, a uciecze przyjaciół genuenńczyka.

— A toś otrzymał nauczkę, Juanie d'Orbitello! — żar-

towali i śmieli się biesiadnicy z zawstydzonego hidalgą, który wnet potem, pokłoniwszy się dostojnemu gospodarzowi, salę opuścił.

— Krzyżyk na drogę! — powiedział wówczas hrabia de Lhera — nie cierpię dumnych pyszałków, a jeszcze bardziej zazdrośników! Myślę, że i wy podobnie, moi przyjaciele?

Po „dziedzińcu lwów” najwspanialszym z dziedzińców Alhambry, przechadzała się Ozema.

Jakże niepodobna do tej wesołej, bosonogiej dziewczyny, która przed kilku miesiącami, odpłynęła z Haïti, aby poznać ziemię „białych ludzi”. Gdy przybyła do Hiszpanii, z rozkazu królowej Izabelli, ubierano ją wspaniale w klejnoty, aksamity, jedwabie, dogadzano we wszystkim jej woli, uprzedzano jej pragnienia i chęci, a mimo tego, codziennie traciła świeżość cery, żywość i swobodę ruchów, wesołość, i wyglądała niby wędnący kwiatek.

Stroje, które z początku radowały ją niezmiernie, wprędyce przestały bawić ją i zajmować, zarówno jak wszystko co ją otaczało.

Po kwiecistych haityjskich łąkach biegła zwinnie i szybko, w Hiszpanii nie mogła nauczyć się w powłóczęstą sukni i obcisłym ubraniu stapać, po gładkich marmurowych płytach. Więc po „dziedzińcu lwów” chodziła ostrożnie i wolno, nie patrząc na wysmukłe kolumny i rzeźbione balustrady, na rośliny w najcudniejszym rozkwicie i na fontanny, które z marmurowych paszcz lwich były wysoko.

Myśl jej od tych wspaniałości odleciała daleko do wonnych gajów Haïti, do rodzinnej wioski, kędy królował jej brat, kacyk Matinao, kędy między niewiastami rządziła jej matka, a równieśnie płoty mały cieńkie i białe odzienie z miękkich włókien bawełny... Że teraz tęskni do swoich, sama sobie tylko winna!... ach! sama, nikt inny!

Gdy sobie w myśli gorzkie czyni wyrzuty, opuszcza głowę przystrojoną w złotą opaskę, która w tej chwili jej ciąży, łzy płyną po bledziutkich licach smutnej dziewczyny, płyną i niby krople rosy spadają na świeże róże, które trzyma w ręku.

W tej chwili z wnętrza Alhambry wychodzą hrabia de Lhera i Merceda de Valverde. Ta ostatnia jest prawie nieodstępną towarzyszką haityjskiej księżniczki. Polubiwszy Ozemę, przywiązała się do niej szczerze i nauczyła ją wcale dobrze mówić po hiszpańsku.

— Płaczesz Ozemo?! — woła obejmując kibić przyjaciółki. — Moja droga, znów płaczesz, i o co?

— Biedna Ozema! nieszczęśliwa Ozema! — zagadniętą dziewczynę jakiś głos wyręcza w odpowiedzi.

Hrabia de Lhera i obie dziewczyny spoglądają naokół. A tu z pomiędzy gałęzi laurów, wlatuje ptak o białych i żółtych piórach, wzbija się w górę, a potem siada na ramieniu Ozemy.

— To *kakatoes*! — mówi dziewczyna, i delikatnie głaszcze ulubioną papugę, która znów powtarza skargę, jaką podsłuchiwała nieraz u swej pani:

— Biedna Ozema! nieszczęśliwa Ozema!

— Niemądry ptaku! cicho bądź! — woła Merceda, usiłując odpędzić papugę. — Właśnie, że Ozema niedługo będzie bardzo szczęśliwą. Miłościwa nasza królowa, dla swej siostry księżniczki z za Oceanu, kazała przygotować skrzynię pełne szat ślicznych i klejnotów, które Ozema zabierze z sobą wracając do Haïti.

Rumieńce radości i wzruszenia rozjaśniają twarz dziewczyny.

— A kiedy? kiedy?... biała królowa pozwoli Ozemie odjechać, kiedy?... Ale czy aby w Haïti znajdzie Ozema Najświętszą Matkę i Dzieciątko Jezus?... — pyta niespokojnie.

Bo Ozema już została chrześcianką i pełną jest żywej i gorącej miłości dla prawdziwego Boga, tylko na pół dziękmu dziewczęciu, wzrosłemu w wierze, iż każdy kraj, każda wyspa ma swoje własne, odrębne bóstwa, nie mogło pomieścić się w głowie, aby jeden i ten sam Bóg królował nad Hiszpanią i nad ojczyzną jej, tak ogromnie od Hiszpanii daleką.

— A jakże — odpowiada Merceda de Valverde i daje znak hrabiemu de Lhera. On wchodzi w głąb gmachu i wnet wraca niosąc olbrzymią mapę, którą na balustradzie rozłożył.

— Widzisz, księżniczko — mówił pokazując jej zieloną wyspę, świeżo narysowaną — to twoja ojczyzna. A teraz spojrz w górę: Chrystus nad całym światem rozciągnął ramiona *). To znaczy, że Chrystus na całą ziemię spogląda

całując złoty krzyż, który dostała od Mercedy, i przyciskając godło odkupienia do serca szeptała:

— Wielki! dobry Bóg białych ludzi i Ozemy! Ozema Go kocha i swoim braciom i siostram o potężnym Bogu opowie, gdy powróci do Haïti... Nie powróciła wszakże tam nigdy... Zmarła w kwiecie wieku w Hiszpanii, której klimat okazał się niewłaściwym dla niej.



ZBIÓR RÓŻ W BULGARYI.

miłosiernem okiem, że całemu światu błogosławi łaskawie... On jest w tej chwili i tutaj nad nami i nad Haïti jest... wszędzie.

Czarnowłosa dziewczyna płakała z rozrzewnienia i radości,

*) Na geograficznych atlasach, w średnich wiekach rysowano zawsze u góry wizerunek Jezusa Chrystusa, z rozwartymi ramionami na znak, iż błogosławieństwo Boże jest nad całym światem.

— Zapewne, wielbny ojciec nie wiadomo wam jeszcze, że miłośnicy państwo wyjednali bullę, w której Ojciec święty przysądził Hiszpanii wszystkie nowe lądy, jakie już są i będą jeszcze odkryte na zachód od południka przeprowadzonego o sto mil od wysp Azorskich i Zielonego Przylądku mówił Kolumb kończąc długą i poufną rozmowę z przeorem klasztoru Santa Maria de la Rabida. To postanowienie papieskie wielką jest dla nas wygraną; unikamy zatargów z chciwym portugalczy-

kiem, który rad wszystkie nowo odkryte ziemie pod swe panowanie zagarnąć. Lecz, widzi mi się, że jestem dla was posłem niedobrej nowiny?... Przykro mi to bardzo! taką przecież jest wola miłościwego pana, abyście w charakterze astronoma należeli do nowej naszej wyprawy.

Chodzili potem razem po ogrodzie klasztornym i przeor zdawał się być bardzo zafrasowanym.

— Jużciż Bogiem a prawdą ciężko mi będzie rozstawać

uprawy roli, do wydobywania złota, konie i rozmaite zwierzęta domowe, masę przeróżnych towarów na podarunki i handel zmienny z dzikimi. Wolą najjaśniejszego pana jest, abyśmy w nowo odkrytych ziemiach zakładali miasta i osady.

— I na kiedyż — spytał przeor — mam być gotowym do drogi?

— Skoro tylko dzień wyruszenia w podróż stanowczo zostanie oznaczonym, wnet wyprawię do was gońca, a teraz



...mówił Kolumb kończąc długą i poufną rozmowę z przeorem klasztoru Santa Maria de la Rabida...

się z moimi braćmi zakonnymi; przykro opuszczać moją cichą celę. Najmilej mi było w tej ustroni badać gwiazdy nad moją ziemią ojczystą... Woli króla jednak trzeba być posłusznym, zwłaszcza kiedy to ma być na chwałę Bożą i pożytek nauki.

— Miłościwy pan hojnie, co się zowie hojnie wyposaży naszą wyprawę. Powierzył mi pieczęć królewską i nieograniczoną władzę na ziemiach nowo odkrytych; dał pół tysiąca załogi i szesnastu oficerów, a na szesnastu wielkich okrętach naładowano zboże wszelkich gatunków, ryż, narzędzia do

pozwołcie abym was pożegnał. Dużo mam jeszcze do roboty, zanim Hiszpanię opuszczę. Miłościwi państwo przyrzekli zaopekować się moim Diegiem, muszę go odwiedzić do Barcelony, gdzie przy dworze pozostanie jako paź.

— No, to odejdźcie już z Bogiem — rzekł dobrotliwie zakonnik, przyciskając do swej piersi Kolumba, który ucałował jego rękę.

11wudziestego piątego września 1493 r. zaledwie gdy świt zaróżowił niebo, pod Kadyxem, ogromna jak na owe czasy Kolumbowa flota gotowała się do wypłynięcia na pełne morze.

Wśród wielkich i ładownych okrętów wyróżniał się mały, śliczny statek z przodem wyrzeźbionym w kształcie muszli. Na złożonym maszcie widniał napis „Ozema”. Imię zmarłej haityjskiej księżniczki, było nazwą statku, który przy rozwiniętych śnieżnej białości żaglach, pruć morskie fale chyżo jak ptak, a był własnością nowo zaślubionej pary: hrabiostwa de Lhera.

Ludwik de Bobadilla za udział w pierwszej wyprawie Kolumba i czyny odwagi i poświęcenia, w tej wyprawie dokonane, odzyskał w zupełności względy Ferdynanda i Izabelli. Królestwo przemysłowiwi czemuby mogli wynagrodzić młodzieńca, który posiada tytuły i olbrzymie majątności, słowem wszystko, co świat nazywa pomyślnością i dobrem, tymczasem hrabia de Lhera o nagrodę poprosił sam.

Wedle zwyczajów hiszpańskich, królowa bywała najpierwszą opiekunką osieroconych córek dostojnych domów, i rozporządzała losom takich panienek. Więc hrabia de Lhera poprosił królową Izabellę o rękę jej wychowanki, seniority Valverde i prośba jego, za zgodą Mercedy została przyjęta. Zaślubiny odbyły się w szczupłym kółku, bez zwykłych w takiej okoliczności przepychów i zabaw, gdyż oboje narzeczeni pragnęli, aby na ich ślubie był ich wspólny przyjaciel Krzysztof Kolumb, któremu znów pilno było przed jesieniami burzami wyruszyć w podróż. I oto hrabiostwo de Lhera śpieszyli pożegnać przyjaciela przed tą podróżą.

Gdy mały statek zbliżył się do okrętu admirała, ten kazał dać wystrzał armatni, a zaraz potem udał się na pokład „Ozemy”, gdzie już było zastawione śniadanie.

Rozmowa rwała się, ciągle a przy rozstaniu i gość i gospodarze nie mogli powstrzymać łez.

— Tyleśmy chwil radosnych i smutnych przeżyli razem, że ciężko mi, ach! bardzo ciężko rozstawać się z tobą don Ludwiku! — mówił Kolumb. — Wiem, że chociaż osobiście nie narażałem się nikomu, powodzenie moje zjednało mi tu wielu zaciętych nieprzyjaciół. Lękam się aby król Ferdynand nie uwierzył tym, którzy spotwarzać mnie zechcą, gdy ja będę za morzami... Otóż, proszę, podczas mej nieobecności broń mojego honoru, drogi przyjacielu!

— Uczynię to! słowem i orężem uczynię w razie potrzeby — zawołał Ludwik de Bobadilla.

— Modlitwy i myśli nasze w ślad za tobą pobiegną, admirałe — dodała Merceda.

— Dziękuję wam, dziękuję moi drodzy — mówi wzruszony Kolumb, ściskając ręce swoich młodych przyjaciół — jestem pewien, że dotrzymacie swoich przyrzeczeń. Do szczególnego zobaczenia!

— Do zobaczenia!...

Domenica to jest niedziela nazwano wyspę odkrytą w niedzielę drugiego listopada. Ponieważ jednak nie było przy tej wyspie dogodnego portu, więc Kolumbowa flota nie zatrzymując się płynęła dalej, nadając imiona spotykanym po drodze większym wyspom.

Tę ostatnią Turequeira nazywali tuziemcy, którzy byli ludożercami.

Zapuściwszy się w głąb wyspy, znaleźli ognisko, przy którym piekły się części ciała ludzkiego.

Bliskie Turequeiry wyspy były ślicznie zadrzewione, lecz skutkiem sąsiedztwa z tuziemcami, zupełnie bezludne. Największej z nich nadał admirał nazwę *Santa Croce*.

Następnie odkryto wyspę do gromady wielkich Antyllów należącą, *Berequen* przez krajowców zwaną, dzisiejszą Porto Rico. Jeden archipelag maleńkich wyspek nazwano archipelagiem Świętej Urszuli, drugi archipelagiem Jedenastu tysięcy dziewic.

W końcu listopada Kolumbowa flota zbliżała się do Haity.

— Na rany Zbawiciela co się tu stało! bijemy z armat i nikt z naszych nie ukazuje się na wybrzeżu — frasobliwie mówi admirał. — Myślałem że cała osada z uciechą wybiegnie na nasze spotkanie, a tu cisza i żywej duszy nie widać. Oczywiście przytrafiło się tutaj coś okropnego!

Gdy załoga admirałskiego okrętu z Krzysztofem Kolumbem na czele wysiadła na ląd, straszny przedstawił się im widok!..

(d. c. n.)

SZTUKA CZY RZEMIOSŁO

Z NIEMIECKIEGO.

(Dalszy ciąg).

Hubert spojrział na niego ze zdumieniem. Więc ten robotnik jest owym mężem, którego sławiono w całym kraju, owym mistrzem, który twardym metalom nadawał kształty wytworne i tworzył z nich pełne życia postacie!

— Czego chcesz, mój przyjacielu? — zapytał Vischer, zsuwając na tył głowy małą, okrągłą czapeczkę.

Hubert nieśmiało wypowiedział swoją prośbę.

— Chcesz pracować u mnie? — zapytał Vischer, bawczo mierząc wzrokiem postać chłopca. — Wątpię, abyś wytrwał w tym zamiarze, jesteś bardzo wątłej i szczupłej budowy; kto chce z nami pracować musi mieć szerokie plecy i silne ramiona, bo inaczej ręce mu ziemleją i siły odmówią posłuszeństwa.

Hubert westchnął i błagalnie spojrział na mówiącego.

— Jestem jeszcze młody — szepnął — może z czasem nabiorę więcej sił.

— Nie, nie — szorstko ale przyjaźnie odparł Vischer — nic z tego nie będzie, przez wzgląd na ciebie samego, nie mogę przyjąć cię za ucznia. Lepiej byłoby, ażebyś poszukał odpowiedniejszej dla siebie pracy; może znajdziesz pomieszczenie w innej pracowni.

— Ale ja pragnąłbym nadewszystko kształcić się w sztuce — rzekł Hubert.

— Trzeba się liczyć ze zdrowiem i siłami — odrzekł Vischer, i wskazując ręką robotników, stojących przed piecem, dodał: — Spojrz na tych barczystych ludzi, spojrz na mnie i porównaj nas z sobą. Zresztą — dorzucił jeszcze, widząc, że Hubert ze łzami w oczach zabiera się do odejścia — zresztą nie chciałbym cię zniechęcać. Jesteś tu obcym i prawdopodobnie nie znasz nikogo w Norymberdze; jeżeli ci się nie uda znaleźć innego zajęcia, możesz tymczasem u mnie pozostać.

Obietnica ta niewielką była pociechą dla Huberta, który gotów był w tej chwili stanąć do pracy razem z robotnikami i uczyć się pod kierunkiem Piotra Vischera.

Mistrz śledził wzrokiem chłopca, który ciekawie rozglądał się po pracowni.

— Przyjrzyj się temu pomnikowi, a nie pożałujesz straconego czasu — rzekł z uśmiechem. — Czternaście lat przeszło pracowałem nad nim razem z pięcioma moimi czeladnikami i z Bożą pomocą nieźle nam się udało. — To mówiąc, wziął chłopca za rękę i przyprowadził go do pomnika stojącego na środku pracowni. Był to podługowaty grobowiec w stylu gotyckim i okolony ośmioma wysmukłymi filarami, które biegnąc ku górze tworzyły sklepienie zakończone trzema wieżyczkami. Na podstawach filarów stało dwanaście męskich postaci, a ponad nimi tyleż mniejszych figurek. U stóp sarkofagu widać było rybaków zarzucających sieci i gromadkę dzieci bawiących się ze zwierzętami. Cały sarkofag spoczywał na dwunastu pełzających węzłach i na czterech delfinach umieszczonych po rogach.

— Pomnik ten jest przeznaczony na grobowiec świętego Sebalda — tłumaczył Vischer. — Większe postacie stojące na podstawach kolumn wyobrażają dwunastu apostołów, mniejsze zaś umieszczone ponad nimi świętych proroków.

— A tam wyżej jeszcze... to dziecię stojące na środkowej wieżyczce? — zapytał Hubert.

— To Dziecię Jezus — odrzekł Vischer, z uszanowaniem zdejmując z głowy czapeczkę. — Chrześcianizm jest najwznioślejszym wierzeniem ludzkości, bez Bożej pomocy człowiek za-

tego dzieła dokonać nie zdoła, słusznem jest zatem, aby po-
sać Chrystusa wieńczyła tę pracę rąk naszych.

— A cóż przedstawiają obrazy będące u stóp sarkofagu?
ciekawie pytał Hubert.

— Są to szczegóły z życia świętego Sebalda, wspomnie-
nie cudów, których on dokonał. Tu znowu — dodał wskazu-
jąc na małą postać otuloną płaszczem — masz posąg tego
świętego. A teraz schyl się — dodał z uśmiechem, pokazu-
jąc małe zagłębienie, znajdujące się w jednej ze ścian sarko-
fagu — to ja sam jestem, z młotem w ręku i w fartuchu tak,
jak przez tyle lat pracowałem nad tym pomnikiem.

Schyliwszy się, Hubert ujrzał istotnie małą figurkę po-
dobną do Piotra Vischera.

Przejęty podziwem stał długo w milczeniu, zachwycając
się najdrobniejszymi szczegółami tego artystycznie wykończo-
nego pomnika.

— No, chłopcze — ozwał się wreszcie Vischer, kładąc
mu rękę na ramieniu — dość już marzeń i zachwyków. Kto
chce czegokolwiek w życiu dokonać, musi szczerze wziąć się
do pracy. Ruszaj w drogę, idź do miasta i szukaj sobie za-
jęcia.

Raz jeszcze rzuciwszy okiem na grobowiec, Hubert po-
żegnał Piotra Vischera i ze ściśniętym sercem wyszedł z pra-
cowni by nowe rozpocząć poszukiwania. Długo błąkał się
bez celu, bo ze zwykłą sobie niepraktycznością zapomniał prosić
Vischera o udzielenie mu wskazówek, gdzie i do kogo się
zwrócić.

Wieczór już zapadł, gdy wędrowiec nasz ujrzał stojącą
pośrodku dużego placu wysoką, gotycką kolumnę, z której
mnóstwem rurek wytryskała woda. Przy kolumnie zebrała
się gromadka dziewcząt, które napełniając wodą miedziane
dzbanuszki, śmiały się i gawędziły wesoło. Hubert stanął nie-
opodal i przyglądał im się w nadziei, że którakolwiek z nich
sposztrzegłszy go zapyta, dokąd idzie i czemuby pomógł mu
można, ale dziewczęta tak były sobą zajęte, tyle ciekawych
nowin miały sobie do udzielenia nawzajem, że żadna z nich
nie zwróciła uwagi na biednego, samotnego chłopca. Powoli
rozchodzić się one zaczęły i wkrótce Hubert został sam na
placu. Pić mu się chciało, głód dokuczać zaczął, podszedł
więc do studni i napił się zimnej, źródlanej wody. Pokrze-
piwszy się nieco, zamierzał odejść i poszukać na noc schro-
nienia. Nagle uwagę jego zwróciła młoda dziewczyna idąca
przez plac w skromnej sukience z czarnego płótna i w bia-
łej chusteczce na głowie. Miedziany dzbanuszek, który trzy-
mała w ręku świadczył, że i ona także zmierza ku studni.

Słowa poety: „pracowita kobieta nigdy kroku na próżno
nie uczyni” dawały się w zupełności zastosować do tej dzie-
weczki wychodzącej zaledwie z lat dziecięcych. Najdrobniej-
sza nawet sposobność przyjsia komukolwiek z pomocą nie
uszyła jej uwagi. Tu spostrzegła dziecko, które przewróci-
wszy się płakało rzewnie: podeszła ku niemu, podniosła je
i uspokajała pieszczotliwymi słowy. Tam znów spotkała
staruszkę, zbierającą suche gałęzie, które widocznie upuścić
musiała: podbiegła natychmiast i pozbierawszy je związała
razem w wiązkę. Następnie minawszy gromadkę klócających
się chłopców — którzy widocznie znać ją musieli bo sam jej
widok natychmiast położył koniec sprzeczce — podeszła do
studni i postawiła na ziemi dzbanuszek. W tej chwili na
placu nie było nikogo oprócz niej i Huberta. Dziewczynka
sposztrzegła go; może nawet przyszło jej na myśl, że jest to
obcy wędrowiec, który potrzebuje rady lub pomocy, ale nie
znała go wcale... wydawał jej się dorosłym! nie śmiała
pierwsza go zagadnąć. Dzbanuszek był już napełniony,
dziewczynka zamierzała odejść, gdy raz jeszcze odwróciła się
poza siebie. Nieznajomy oddalał się także od studni. O pa-
rę kroków za nim leżało na ziemi coś białego.

— Panie! panie! — zawołała podnosząc ów przedmiot
z ziemi — czy to nie pan zgubił tę chusteczkę?

Zatrzymawszy się, Hubert sięgnął do kieszeni, w którą
schował był chusteczkę otrzymaną od pani Welzer. Nie zna-

lazłszy jej, rozglądał się z przerażeniem ale wnet dziewczyn-
ka podbiegła i oddając mu zgubę;

— Dobrze, że ją spostrzegła — rzekła z uśmiechem —
szkodaby było tej chusteczki. Taka cieniutka i tak ślicznie
wyhaftowana!

— Dziękuję bardzo panience — odrzekł Hubert — żał
by mi było tej chustki, która jest dla mnie miłą pamiątką.
Czy panienka nie mogłaby mi wskazać... — zawahał się czy
mówić dalej ale dobroć malująca się na twarzy dziewczynki
przywróciła mu odwagę. Opowiedział jej szczerze w jak
trudnem położeniu się znajduje nie wiedząc do kogo się
zwrócić.

— Nie łatwo to będzie znaleźć zajęcie — ozwała się
dziewczynka wysłuchawszy go odważnie — ale niech pan nie
traci nadziei — Umilkła nagle myśl jakaś szczęśliwa błys-
nęła jej w głowce. Wiem już co zrobić — zawołała z rado-
ścią i biorąc go za rękę dodała. — Niech pan idzie ze mną.

— Ale czy panienka ma czas zajmować się nieznajo-
mym? może rodzice gniewać się będą! — opierał się zmieszany
Hubert.

— Gniewać się? — zawołała z uśmiechem — ojciec
nigdy się na mnie nie gniewa, a każdy powinien znaleźć czas
na to, aby pomódz tym którzy tego potrzebują. Chodźmy
prędzej. I żywo skręciła w jedną z bocznych uliczek, prowa-
dząc z sobą Huberta.

W oknie jednego z domów na przedmieściu Norymbergi
siedziała młoda, skromnie ubrana kobieta i przędła pilnie,
nitka kręciła się szybko w jej palcach, przędza równa była
i cieniutka jak pajęczyna. Nagle odłożyła kądziel, oparła
ręce na kolanach i zamyśliła się głęboko. Wesołe widocznie
myśli zajmować ją musiały, bo uśmiech radości twarz jej roz-
jaśnił a w oczach malował się wyraz błogości i szczęścia. Za-
topiona w myślach kobieta nie słyszała jak drzwi skrzypnęły
i do pokoju wszedł młody przystojny mężczyzna, niosąc w rę-
ku jakiś przedmiot starannie obwinięty w chustkę. Sposztrzegł-
szy żonę siedzącą przy oknie, podszedł ku niej cichutko i sta-
nął za krzesłem.

— Dzieńdobry! — zawołał wesoło, całując ją w czoło.

— Ach! jakże mnie przestraszyłeś! — zawołała kobie-
ta odwacając się ku niemu

— A czy wolno zapytać, o czem to zamyślałaś się tak
głęboko? — spytał mąż.

— Myślałam o tem, że dziś wypada...

— Rocznicą dnia, w którym po raz pierwszy światła
dienne ujrzałaś — przerwał jej mąż.

— A więc pamiętałaś o tem, dobry kochany Hansiel!

— Naturalnie, że pamiętałem i oto przyniosłem ci ma-
leńki upominek w dowód mej miłości dla ciebie, kochana Ku-
negundo. Przyjrzyjże się — dorzucił stawiając na stole
przedmiot przyniesiony z miasta.

— Ach! jakież to śliczne! — zawołała pani Kunegun-
da oglądając niezuany sobie sprzęt. — Do czegoż to służy!

— Jest to kołowrotek wynaleziony przez Jürgensa
mieszkającego w Brunswiku. Przyjrzyj się temu kółku, po-
ruszasz je nogą, ono obraca się prędko i ułatwia ci prze-
dzenie.

— A zatem nie będę już potrzebowała kądzieli? — nie-
dowierzająco spytała pani Kunegunda.

— Naturalnie, wszyscy zapomną o kądzieli jak tylko
kołowrotki będą więcej rozpowszechnione.

I żywo poruszał nogą kółko, które kręciło się z głośnem
warczeniem; pani Kunegunda przyglądała się z zachwytem.
Nagle drzwi otworzyły się i do pokoju wszedł Hubert ze swą
przewodniczką.

— Jak się masz Elżbietko? — powitał ją przyjaźnie
gospodarz — cóż cię sprowadza o tak późnej godzinie?

— Mam do pana prośbę... wielką prośbę — odrzekła
dziewczynka, spoglądając na niego błagalnie.

— Bądź pewna, że mój mąż ci nie odmówi, jeżeli tylko
to będzie możliwe — zapewniła ją pani Kunegunda.

Oboje z mężem wysłuchali uważnie opowiadania dziew-

czynki, która określiwszy w kilku słowach smutne położenie nieznajomego wędrowca, prosiła o przyjście mu z pomocą. Hubert stał w milczeniu pełen obawy, czy poraz trzeci nadzieje jego nie zostaną zawiedzionymi.

— A więc to jest ów wędrowiec — rzekł wreszcie gospodarz. — Chodźno tu mój chłopcze, niech ci się przyjrze — to mówiąc przyprowadził go do okna.

Hubert spojrział mu prosto w oczy. Dźwięk głosu gospodarza budził w jego duszy jakieś zamarłe wspomnienia, twarz jego także nie wydawała mu się obcą, ale nie mógł sobie przypomnieć, kiedy i gdzie widział tego człowieka.

— Skąd pochodzisz! — zapytał go gospodarz.

— Urodziłem się w Erfurcie — odrzekł Hubert.

— Doprawdy? Znałem niegdyś to miasto. A czemuż jest twój ojciec?

— Mój ojciec... Hubert się zawahał.

— No, czemuż jest twój ojciec?

— Mój ojciec jest... — zaczął Hubert i po raz drugi nie dokończył rozpoczętego zdania.

— Oby tylko nie stróżem nocnym! — wesoło zawołał gospodarz — bo w takim razie nie mógłbym zająć się tobą.

— Nie, panie — śmielej już odrzekł Hubert — ojciec mój jest właścicielem oberży.

— Dlaczego nie miałeś odwagi powiedzieć mi tego?

— Dla tego — szczerze odpowiedział Hubert, że opuściłem dom wbrew woli ojca, który surowo zabraniał mi myśleć o sztuce.

Wyraz zdziwienia odmalował się na twarzy gospodarza.

— Jak się nazywa twój ojciec? — zapytał ze wzrastającym zajęciem.

— Tomasz Habermann...

— Właściciel oberży „pod Dzwonem!” — Dokończył gospodarz i zwracając się do żony dodał: Patrz, Kunegundo, to jest ów Hubert, który okazał mi współczucie gdy nie miałem czem zapłacić wieczerzy w oberży jego ojca i własną chciał mi oddać sakiewkę.

— O Boże! — z radością wykrzyknął Hubert więc pan byłbyś...

— Tak, moje dziecko, jestem Hans Sachs, ten sam czeladnik szewcki, który wtedy nie miał czem płacić za wieczerzę a obecnie meistersinger i właściciel warsztatu szewckiego w Norymberdze. Rad jestem, że zdarza mi się sposobność odwiedzienia ci się za współczucie jakie mi okazałeś. Jeżeli masz ochotę, zostań u nas, zrobię z ciebie porządnego szewca.

— Szewca! — tonem głębokiego zawodu zawołał Hubert — ja chciałbym być malarzem.

— Wierź mi, mój chłopcze — łagodnie lecz stanowczo odrzekł Sachs — że lepiej uczynisz usłuchawszy mej rady.

— Ale te obrazy, które widziałem w pracowni pana Dürera tak mi się podobały!

— Wierzę ci i rozumiem twój zachwyt. Posłuchaj mnie jednak: w obecnej chwili nie masz środków na to aby kształcić się w malarstwie. Naucz się przedtem rzemiosła a mając zapewniony kawałek chleba, łatwiej ci będzie doprowadzić do skutku ten zamiar.

— Może pan ma słuszość — odrzekł Hubert po chwili namysłu — skorzystam więc z dobroci pańskiej i pozostań tutaj.

— Brawo, mój chłopcze! — zawołał Sachs i uderzając go przyjaźnie po ramieniu zanucił wesoło.

Niezaadlugo po tej rozmowie, Hans wysłał z butami Huberta do Piotra Hele ojca Elżbiety. Doszedłszy do wskazanego sobie domu Hubert ujął klamkę, otworzył drzwi i wszedł do pokoju. Niezwykły widok przedstawił się jego oczom. Wąskie, wysoko umieszczone okienko przepuszczało nie wiele światła, to też w pierwszej chwili nic prawie rozpoznać nie mógł. Oswoiwszy się wreszcie z mrokiem panującym w pokoju, dostrzegł siedzącego za stołem siwowłosego, szaro ubranego staruszka, który trzymając w ręku jakiś maleńki przedmiot wpatrywał się weń uważnie. Dreszcz przebiegł Huberta, gdy posłyszał, że przedmiot ten niepodobny do żadnej istoty żyjącej — wydaje głos jakiś jednostajny i nieprzerwanie się powtarzający. Zdawało mu się nawet, że takie same głosy odzywają się w rogu pokoju. Obejrawszy się z przerażeniem spostrzegł na stojącym tam stole kilka takichże przedmiotów podługowatych, kształtem do jaja podobnych. „Co to być może?” pomyślał Hubert i starając się pokonać ogarniającą go obawę odezwał się:

— Dzień dobry panu.

Starzec nic nie słyszał, siedział jak skamieniały nie odrywając oczu od owego przedmiotu.

— Przyniosłem panu buty — głośniejsze rzekł Hubert. Żadnej odpowiedzi.

— Czy pan jesteś Piotrem Hele? — zapytał chłopiec starzec milczał.

— Czy pan jesteś Piotrem Hele?

W pokoju panowało wciąż głuche milczenie, przerywane tylko jednostajnym, miarowym dźwiękiem. Nagle posąg kamienny zdawał się ożywić. Starzec niżej jeszcze pochylił głowę, przyłożył ucho do owego dźwięczącego przedmiotu, przysłuchiwał się przez chwilę, wreszcie podniósłszy głowę, rzekł głucho.

— Za prędko! wciąż za prędko! za prędko!

Hubert postanowił skorzystać z tej chwili. Podeszedłszy bliżej do stołu, zapytał po raz trzeci:

— Czy pan jesteś Piotrem Hele?

Starzec w milczeniu skinął głową, nie podnosząc nawet oczu na stojącego przed nim chłopca.

— Przyniosłem panu buty od pana Sachsa — rzekł Hubert. — Może je pan przymierzy, czy będą dogodne? Starzec podniósł się machinalnie, schował do szkatułki dźwięczący ów przedmiot i wysunął z pod stołu nogi w zniszczonych, podartych pantoflach. Schyliwszy się, Hubert zdjął mu pantofle i wciągnął nowy but. Następnie obejrzał się, chcąc wziąć drugi, szukał w chusteczce, na podłodze... ale drugiego buta nie było.

Tymczasem starzec siedział wciąż nieruchomy, z nogami wyciągniętymi pod stołem, z oczyma utkwionymi w szkatułkę, w której znajdowało się dźwięczące jajo.

(d. c. n.)

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rs. 4, na prowincyi w kraju i zagranicą rs. 5 — stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna.

Biuro Redakcyi, ulica Mazowiecka Nr. 10 nowy.

TREŚĆ: Jak ludzie istotną postać ziemi poznali? Skreślił Stanisław Kramsztyk. — Kwiaty w przemyśle p. A. (z drzew.) — Do ziemi nieznanej p. Halinę Tokarzewską (z drzew.) — Sztuka czy rzemiosło, z niemieckiego. Dodatek: Przyjaciele Ignasia (z drzew.) — Tola, wiersz p. Helenę Bojarską. — Przygody Iskierki, Perelki i Brylancika. — Łanigłówni i rozwiązania. — Skrzynka do listów. Dodatek książkowy: W krainie Gwebrow.